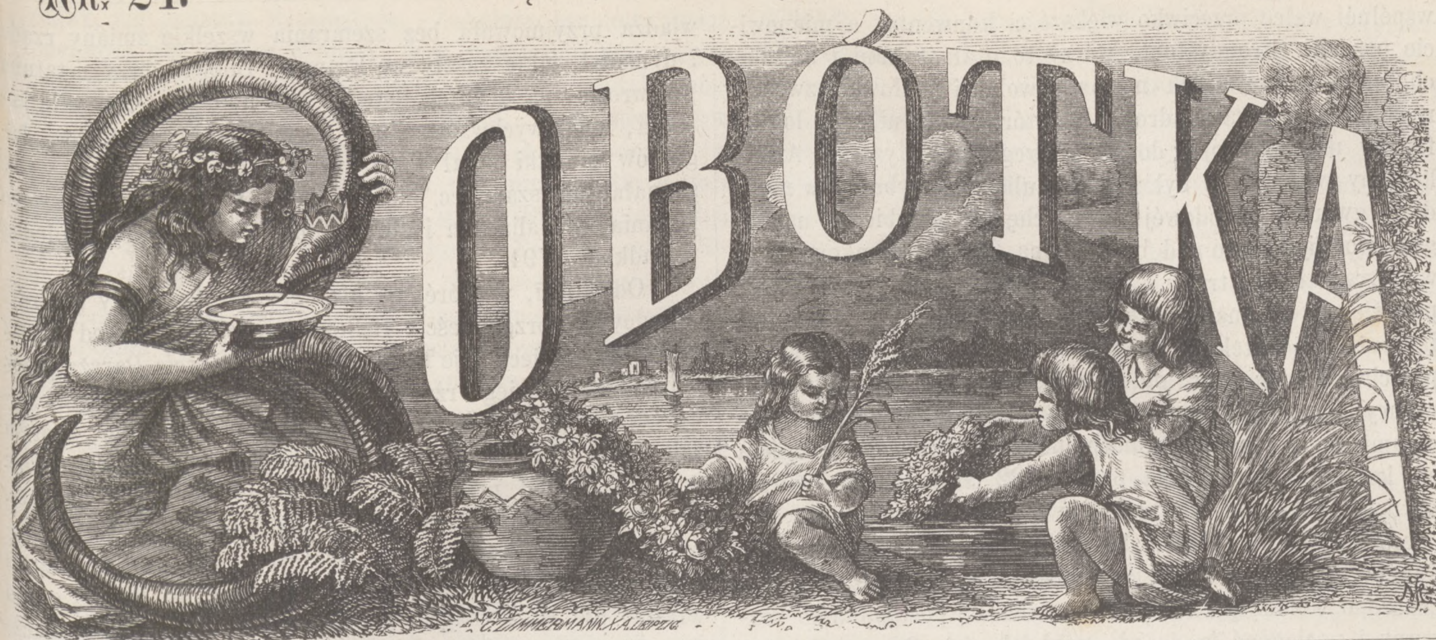
Nr. 24. Poznań, dnia 10. Czerwca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

KOMUNA W PARYŻU.

(Dokończenie.)

Nie zawsze nowa organizacya, nie zawsze nawet prawa potrafią jakąbądź instytucyę natchnąć siłą i dać jéj władzę w rękę; siła jest wypływem energii, a tę tylko człowiek energiczny i śmiały zdolny jest wlać w instytucyę i zrobić z niéj potęgę. Powaga nowo zorganizowanéj komuny paryzkiéj zbladła w obec „zgromadzenia prawodawczego“ i dopiero gdy w Listopadzie 1791 r. Robespierre, Billaud-Varennes, Tallieu, Sauterre, Legeudre, Rossignol weszli do rady jeneralnéj, Pétion został merem Paryża, Manuel prokuratorem komuny a Danton jego zastępcą, dopiero wtedy podniosła głowę komuna, podjęła walkę przeciw zgromadzeniu prawodawczemu, na którém wymusiła powierzenie radom gminnym w całéj Francyi straży bezpieczeństwa publicznego, zaczém poszło utworzenie komitetu bezpieczeństwa (comité de surveillance) i trybunału rewolucyjnego. Rada komunalna Paryża, nieledwie tak liczna jak zgromadzenie prawodawcze, stała się ciałem czysto politycznem, mającem swe biura, swą mównicę, hałaśliwe na trybunale oklaski i olbrzymią potęgę, bo za pomocą komitetu bezpieczeństwa i sekcyi paryzkich panowała komuna nad Paryżem i zgromadzeniem prawodawczém. Komuna ta zażądała w imieniu ludu paryzkiego w dniu 20. Czerwca i 3. Sierpnia 1792 roku detronizacyi Ludwika XVI, a gdy żądania jéj nie odniosły pożądanego skutku, powaliła rozruchem z 10. Sierpnia tegoż roku monarchią o ziemię. Zgromadzenie prawodawcze usiłowało wprawdzie utworzeniem rady departamentowéj dla departamentu Sekwany złamać potęgę komuny, lecz groźne słowa Manuela odebrały mu odwagę. „Delegowani Paryża“, mówił Manuel, „potrzebują władzy nieograniczonéj, wytworzenie nowéj władzy pomiędzy nami i wami stojącéj, jaką ma być nowa rada departamentowa, nie wytworzy nic chyba niezgodę. Potrzeba będzie w takim razie, aby lud chcąc się wyswobodzić z pod téj władzy niszczącéj jego wszechwładztwo, wytępił ponownie zbrojny zemstą.“

Komuna była teraz wszechmocną. Haniebnéj pamięci mordami wrześniowemi zatrwożyła i tych, którzy trybunałom rewolucyjnym śmieli stawić czoło, wysłała komisarzy na prowincyą, aby wpłynąć na wybory do „konwentu narodowego“, zgromadziła w swem ręku olbrzymie środki finansowe konfiskując majątki ofiar septemtryzacyi, zabierając srebra z kościołów i gotowiznę z prywatnego skarbu królewskiego. Zebrany 20 Września 1792 konwent, pozazdrościł téj władzy komunie i rzeczywiście początkowo pod naciskiem oburzenia, jakie wywołały mordy wrześniowe, zachwiała się jéj powaga. Pétion i Manuel złożyli swe urzędy municypalne i w konwencie przyłączyli się do stronnictwa Girondystów. Chambon został merem; ale nie na długo; zwycięztwa koalicyi i ścięcie Ludwika XVI rozburzyły umysły na nowo, kluby Jakobinów i Cordelierów pchały lud paryzki ku coraz skrajniejszym przekonaniom, i w Lutym 1793 został wybrany merem Pache, prokuratorem Chaumette, a zastępcą jego Hébert, krwią tysiąca niewinnych osób zbryzgany wydawca haniebnego czasopisma „Le Père Duchesne.“ Nowa komuna zagrożona przez konwent, który niedwuznacznie objawiał chęć zniszczenia swego współzawodnika, połączyła się z klubem Jakobinów i stronnictwem „góry“ ku

wspólnéj walce przeciwko większości konwentu, a mianowicie przeciw Girondystom, którzy to utalentowani i najszlachetniejsi z wszystkich mężów rewolucyi usiłowali zwrócić rewolucyę z krwawéj drogi, na któréj to konieczną logiką faktów musiała dojść do wojskowego despotyzmu. Armią komuny w téj walce był motłoch uliczny przybrany w mundury gwardyi narodowéj, który chętnie przybiegał na odgłos wołającego go pod broń bębna, gdy dwufrankowy żołd wynagradzał mu trudy. By zaś tem silniéj go do siebie przywiązać, wyznaczyła komuna stałą taksę na żywność i nałożyła podatek na bogatych, a gdy konwent wystąpił przeciw téj samowoli, ogłosiła się w stanie nieustannéj rewolucyi, zaczem szło powołanie pod broń ludu, weszła w porozumienie z innemi municypalnościami Francyi i zażądała od konwentu wytoczenia procesu 22 Girondystom. Gwałtowność ta komuny oburzyła chwilowo konwent; wprawdzie upadł wniosek Gaudeta, aby rozwiązać anarchiczne władze Paryża i przenieść siedlisko konwentu do Bourges, lecz wyznaczono komisyą, która miała zbadać postępowanie komuny i pociągnąć ją do odpowiedzialności. Odpowiedzią na to była rewolucya 31 Maja i 22 Czerwca, która poprowadziła Girondystów na rusztowanie, a dyktaturę oddała komitetowi zbawienia publicznego, który oparty na komunie paryzkiéj, do któréj weszli ludzie tacy jak Flenviot, Pyau, Dumas, członek trybunału rewolucyjnego, opanował konwent, zgniótł opór Francyi i zwyciężył koalicyą, ale jednocześnie strasznemi morderstwami zhańbił swą pamięć. Krwawym ludziom komitetu i komuny zdawał się niebawem reakcyonistą Danton, a royalistą Hébert, od 10 Czerwca do 27 Lipca 1794 zginęło 1285 ludzi na rusztowaniu. Zadaniem rzeczypospolitéj, mawiał Robespierre, jest cnotliwe życie obywateli, a środkiem aby ten cel osiągnąć, trwoga.

Pewną jest, że na gruncie przesiąkniętym krwią w obronie ojczyzny i wolności przelaną wyrasta pokolenie patryotyczne i bohaterskie, gotowe i zdolne obronić ojców i dziadów spuściznę; i to pewna, że na tych samych pobojowiskach za tę samą sprawę przelana krew, brata ze sobą narody i skuwa je węzły silniejszemi od międzynarodowych traktatów, ale z niewinnych ofiar nie wzniesie nikt podstawy do monumentu swéj lub swego państwa wielkości, lecz przygotuje zgubę. Srogość Robespierra rządzącego samowolnie w komitecie zbawienia publicznego wywołała gwałtowną reakcyą i 9. Thermidora (27. Lipca) r. 1794 kazał konwent jego i jego wspólników aresztować. Wysilenia komuny, aby uratować terrorystów, były bezskuteczne i spowodowały tylko upadek zupełny komuny. Naczelnik gwardyi narodowéj Henriot, mer Flenviot i inni członkowie rady generalnéj zostali aresztowani, komuna została rozwiązaną, zabroniono sekcyom zbierać się częściéj jak raz co 10 dni, przybywającym na zebrania przestano płacić żołd, odebrano wreszcie ludowi prawo wybierania sobie władz municypalnych. Ostatnie to rozporządzenie konwentu podało powód do rozruchów, lecz te zostały stłumione, a ostatecznie przygłuszył huk dział, jaki się ozwał na ulicach Paryża 13. Vendemiaire r. IV (5. Paźdz. 1795) na długie lata wołanie o komunę. Odtąd stała się municypalność Paryża skromną miejską korporacyą, która jak każda inna administracyjna władza przyjmowała bez szemrania wszelkie zmiany rządu i dynastyi, jakie zaszły we Francyi. Dopiero przy ostatnim przewrocie, na gruzach potęgi Francyi zmartwychwstała komuna, zmartwychwstała znów zbrojna w krocie tysięcy bagnetów i setki dział i po krwawéj dwumiesięcznéj walce skonała jak szaleniec i zbrodniarz, znacząc chwile swego konania wandalizmem i zbrodniami, w obec których bledną wypadki r. 1794.

Od chwili, w któréj po pierwszy raz bataliony gwardyi narodowéj z przedmieścia Belleville przybiegły przed ratusz z krzykiem: niech żyje komuna! aż do zdobycia Paryża przez wojska wersalskiego rządu, upłynęło zaledwie kilka miesięcy, lecz krótki ten czas wystarczył, aby owo hasło, którem tak łatwo było poruszyć lud zmieniło po kilkakroć swoje znaczenie. Lud prosty jest zabobonny równie w polityce, jak w medycynie, a doktrynerzy polityczni odgrywają w rewolucyach rolę szarlatanów leczących. Jak ci tak i tamci mają zawsze uniwersalne środki pod ręką, to jest to czego właśnie lud się domaga. Po klęsce sedańskiéj miała rzeczpospolita uratować honor i całość Francyi, jak w r. 1792, a gdy i rzeczpospolita okazała się bezwładną, miała komuna grozą i postrachem przykuć zwycięztwo do sztandarów czerwonych i ocalić Paryż, jak w r. 1793—94. „Czego nam potrzeba?“ mówił jeden z mówców klubu Favie na Belleville, „oto nowego r. 93. Otóż rok 93 powróci, bądźcie pewni obywatele, odnajdziemy jeszcze wśród siebie Robespierrów i Maratów!“ Dążenia socyalistyczne przyłączyły się do tego; głośny późniéj członek komuny Assy i inni wyznawcy doktryn socyalistycznych rozszerzali się w klubach nad koniecznością usunięcia ciemięztwa kapitału, a głos ich znalazł oddźwięk w sercach robotników paryzkich, niezadowolonych z swego losu i oczekujących polepszenia tegoż nie od własnéj pracy i oszczędności, lecz od państwa. Agitatorowie podchlebiali zgłodniałym tym tłumom zamieszkującym Belleville, Ménilmontant, Batignolles, „te wyżyny, z których światło demokracyi i socyalizmu zstępujego w niziny Paryża“ (Juliusz Allix w klubie Favie). Zachęty te podziałały na lud i już 6 Października zeszłego roku pobiegły bataliony gwardyi narodowéj przed ratusz domagając się utworzenia komuny, któréj nie rozumiały. Ale deszcz, ów najsilniejszy sprzymierzeniec istniejącego rządu w Paryżu, jak mawiał Pétion, rozpędził tłumy, a zamach z 31 Października tegoż roku obaliła wierność gwardyi ruchoméj i wojska. Dopiero gdy po poddaniu się Paryża rozbrojono wojsko regularne i gwardyę ruchomą urzeczywistniły się dawne zamiary krzykaczy klubowych. 18 Marca powstał ogólny rokosz, rząd republikański musiał ustąpić z Paryża, jenerał gwardyi narodowéj Clement Thomas znienawidzony z powodu swéj surowości został zamordowany wraz z jenerałem Leconte, Paryż zażądał komunalnéj samodzielności i zamieniając w téjże chwili swe życzenia w czyn, wybrał sobie komunę. Lecz wnet pokazało się, że zasady głoszone przez kierujący ruchem komitet centralny, były jedynie maską, po za którą kryły się zamęcone utopie socyalistyczne, chętka naśladowania pierwszéj rewolucyi i ambicyjki pojedyńczych. Komuna paryzka zajęła stanowisko nie wolnéj i swobodnéj, lecz razem podporządkującéj się całości

gminy, ale państwa w państwie. Zażądała ona nie samodzielności dla stolicy Francyi, lecz panowania nad całym krajem. „Idźmy śmiało do zbawczego celu“, wołał komitet centralny w odezwie swéj z 24 Marca, „i ustanowmy raz na zawsze republikański rząd, a gmina paryzka oparta na gwardyi narodowéj niechaj czuwa nad nim.“ Słowa jak gdyby z ust Manuela wyjęte. Jak w r. 1793 podjęła gmina paryzka obowiązek czuwania nad losami Francyi, postawiła się wyżéj od rządu centralnego. Niebawem poszła daléj. Za Napoleona III panowali chłopi za pomocą powszechnego głosowania nad miastami, teraz miano przewrócić ten porządek, wsie miały się poddać gminom miejskim, które z gminą paryzką na czele jakieś federecyjne francuzkie państwo utworzyć miały. Zcentralizowana Francya miała się rozsypać w aggregat samodzielnych gmin, jak przed tysiącem laty, jeno że nie baronowie i duki ale ubogi lud miał być panem w tych gminach. Dekreta znoszące konskrypcyą, regulujące stósunki pomiędzy wierzycielami i dłużnikami, domaganie się aby żaden żołnierz wojska liniowego nie postał nigdy w murach Paryża, pokazują jasno, jak to komuna rozumiała swoją samodzielność.

Obok tego odezwały się niejasne jakieś zachcenia reorganizacyi własności, prawa dziedzictwa i zarobkowania, które to zachcianki dążyły do jednego celu, aby komunę będącą już reprezentantem politycznéj władzy, zrobić nadto jeneralnym właścicielem wszystkiego majątku. Że tego rodzaju socyalna rewolucya od razu musiała zniszczyć indywidualną i gminną wolność, w któréj obronie pozornie pochwycono za broń, że despotyzm komuny musiał się tym sposobem stać twardszym od napoleońskiego, o tém nie pomyśleli naczelnicy tego ruchu. A czyż oni myśleli w ogóle? Czyż z dekretów komuny, których sporą liczbę wydali ci pompatyczni zbawcy świata przez dwa miesiące swego panowania, wygląda chociaż jedna myśl twórcza? Nic, jeno zaprzeczenie istniejącym stosunkom. Komuna paryzka chciała obalić to co jest, ale czego chce nie wiedziała sama. Za tém poszło, że treścią dziejów komuny jest walka fakcyi, a raczéj osobistości pnących się do władzy pomiędzy sobą, plwających i niszczących się nawzajem, które wszystkie łączyła tylko nienawiść do wersalskiego rządu i konieczność bronienia się wspólnemi siłami. Z tego braku wszelkiéj twórczéj myśli i pozytywnéj dążności narodziła się owa barbarzyńska idea, aby Paryż zamienić w kupę gruzów, jeżeli się obronić nie potrafi, a motłoch uliczny, o którym jeszcze w minionym roku pisał Henryk Labouchère do Daily News, że z całą przyjemnością będzie widział gruzy i popioły na miejscu budowli, które wzbudzały podziwienie świata całego, chętnie pospieszył na rozkaz zbrodniarzy odgrywających rolę rządu i cisnął palącą się pochodnię do muzeów i galeryi obrazów.

Dziś zakończyły się te saturnalia nierozumu i podłych namiętności. Naczelnicy komuny polegli w boju lub padli ofiarą doraźnego sądu, dym spalonych pałaców ciągnie się po ulicach Paryża, a rozwścieklone wojsko rządu wersalskiego zapomniało że Paryż Francuzi zamieszkują. Okrucieństwa komuny zakrył krwawym płaszczem rząd wersalski. Okropne! okropne! Czyż w ludziach jak w zwierzętach rośnie pragnienie morderstwa z każdą kroplą krwi z przeciwnika utoczoną? Patrząc na to co się dzieje od trzech miesięcy w Paryżu, można wątpić o przyszłości Francyi. Jak Rzym za czasów Cezara, tak i Francya zdaje się dojrzała dla despotyzmu militarnego i bodaj, czy wolna i swobodna rzeczpospolita kiedybądź zapanuje w nieszczęśliwym tym kraju. Nieszczęśliwym! Dawnoż temu gdy był jeżeli nie najszczęśliwszym, to najwięcéj dumnym ze swego szczęścia?

Dr. **

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Juliana wszakże mimo przyjazdu obietnicy wstrzymały i namysły i wybory w podróż, tak że się przybycie jego przeciągnęło. Tym czasem zaszły nader smutne okoliczności.

Jednego poranka panna Klara która bardzo rzadko, zwłaszcza sama odwiedzała dworek i Kanonika, przybiegła z wyrazem twarzy tak zmienionym, przestraszona i zapłakana, że się matka Juliana, która ją pierwsza spotkała w progu wylękła sądząc iż jakie nieszczęście trafiło się panu Ostójskiemu lub jego córce.

Słowa od panny Klary dopytać się nie było można w początku, prosiła o wodę, popłakiwała ciągle, łamała ręce i powtarzała: co to z nami będzie? co my nieszczęśliwi poczniemy?

Kanonik błagał ją aby ich z téj niepewności wywiodła.

„A! ojcze mój“, zawołała, „jest to jeszcze tajemnicą, gdyż mój brat lęka się rozgłoszenia — wielkie nieszczęście. Praca życia całego! Kapitał mojego brata ulokowany u bankiera w Berlinie cały i bezpowrotnie przepadł.“

„Jakim sposobem?“

„Niegodziwy człek zbankrutował i uciekł do Ameryki... brat mój powraca z Berlina... Nie chciał martwić Zosi i krył jak mógł tę klęskę... ale się to mimowolnie wydało... Jesteśmy bez kawałka chleba... Ostójski był tak nieostrożny... ja go zawsze przestrzegałam, słuchać mnie nie chciał. Wszystko złożył w jedne ręce! W domu z obawy złodziejów nic nie trzymał, co tylko zebrał, odsyłał. Niewiem czy mu, oprócz remanentów, tysiąc talarów zostało...“

Kanonik chwycił się za głowę.

„A! co za nieszczęście“, rzekł, „ten poczciwy Ostójski, żeby tylko nie rozpaczał, nie zagryzł się, nie rozchorował. Przecież Bóg dał, Bóg wziął... dla nich dwojga, dla państwa trojga — poprawił się — starczy i ta odrobina co zostanie. Przy pracy...“

Ale panna Klara nie słuchając płakała.

„Możebym ja poszedł do niego“, zawołał Kanonik, „czasem słowo przyjaciela cóś zaważy... a przypomnienie woli Bożéj...“

Chciał już wziąć za kapelusz, ale go panna Klara wstrzymała.

„Nie można mu o tém mówić, póki sam nie przyzna się. Gniewałby się żem ja go zdradziła, przyleciałam tu“, dodała panna Klara, „aby dolą naszą podzielić się z sercami przyjaznemi i pocieszyć współczuciem. O! przeznaczenie!“

Uściskała matkę Juliana i pobiegła równie pospiesznym krokiem jak przyszła. We dworku smutek był wielki.

„Pierwsza rzecz teraz“, zawołał Kanonik, „żeby mu jego własność zwrócić, bo dziś i ten dworek dla niego wiele znaczy. Nic więc nie mówiąc trzeba innego mieszkania szukać, pozór jakiś znaleźć, a ztąd ustąpić.“

„Tak, to prawda“, rzekła smutnie matka Juliana, „a! ale jakże ciężko się nam będzie znowu przenosić.“

„Cięższéj jemu, moja siostruniu, na starość zostać z uszczuplonym chleba kawałkiem — westchnął Kanonik... — ale Bóg łaskaw...“

Miał iść nie zwłócząc do miasteczka, gdy Ostójskiego zobaczył, który z kijem w ręku szedł powoli z głową spuszczoną. Na twarzy jego znać było przybicie, ale nie tak szaloną rospacz i zwątpienie, jakich się Kanonik obawiał. Pozdrowili się jak zwyczajnie, Ostójski postawił kij w kącie i siadł.

„Jeździłeś pan do Berlina — cóż tam słychać?“ spytał Kanonik.

„A no — nic, Berlin się na wielką stolicę przerabia, choć mu to nie łatwe. Nic...“

„Coś zmęczeni jesteście z podróży, czy... nie zdrowi, jakoś mi wyglądacie nie swojo“, dodał ksiądz.

Ostójski się obejrzał. „Doprawdy?“ rzekł, „jakto! poznaliście biedę z twarzy...“

„Jest jaka bieda?“

Stary się zawahał, jakby z sobą walczył, mówić czy milczeć.

„No, przed wami tajemnicy niema...“ rzekł krótko, „moją krwawicę djabli wzięli.“

„Co? co takiego?“ zapytał Kanonik.

„Cały majątek mój przepadł“, dosyć jakoś spokojnie dodał Ostójski... „Zostało mi bardzo mało. A w dodatku żem sam sobie winien, więc niema co i piszczeć.“

„Cóż? skradziono?“

„A juściż“, mówił Ostójski. „Licho mi nadało obawiać się złodzieja w domu i samemu go sobie szukać po za domem. Oddałem wszystkie moje pieniądze bankierowi, który zdawał się pewny i człowiek uczciwy. Tymczasem uszedł gdzieś do Ameryki. Passiva wynoszą półtora miliona, a Activów jest na dziesięć tysięcy. Uwinął się tak zręcznie, że gdy się ludzie opatrzyli, już może był w Nowym Yorku...“

„Ależ nie mieliście u niego całéj waszéj...“

„Caluteńką krwawicę, sto piętnaście tysięcy talarów...“ westchnął ocierając pot z czoła Ostójski. Chwila była ciężkiego milczenia, szlachcic dumał ponuro.

„Mam lat sześćdziesiąt“, rzekł, „nie taka to starość jeszcze gdy są siły — lecz dorobić się już ciężko, choć mam za co ręce zaczepić. To co mi zostało z remanentem, gotówką, w zbożu, na dłużnikach dociągnie do kilku może kilkunastu tysięcy. Gdym poczynał gospodarzyć, więcéj nie miałem... ale naówczas téż nie miałem połowy tych lat które mi ciężą na karku... i kochanego dziecka o którego los jestem trwożny. Nuż choroba, śmierć... a ona zostanie na łasce Klary? Klara najpoczciwsza w świecie, ale... będzie po całych dniach deklamować, ręce załamywać — i po wszystkiem..“

Znowu umilkli, Kanonik i pocieszać nie umiał.

„Tylko cicho, sza! niech ludzie się ze starego dudka nie śmieją...“ dodał Ostójski.

„Przecież może złodzieja złapią i coś się odzyska“, rzekł Kanonik.

„Gdyby go złapali, to go jeszcze żywić będzie trzeba, wszystko puścił na bursie... Już tam drudzy starania robili... telegrafowali przez linę do Ameryki, ale ja na to grosza dać nie chciałem...“

„Wie Zosia?“ spytała matka Juliana.

„Nie zupełnie... ale zdaje mi się że się domyśla, i że Klara się jéj łzami wygadała, mnie podszedłszy. Zosia żeby mnie nie zgryźć, wszystko w sobie stłumi — zresztą ona najmniéj dla siebie potrzebowała, a pracować potrafi... Mnie to więcéj dotyka com jéj życie chciał zapewnić szczęśliwe, dostatnie, bez troski. Ale wola Boża... wola Boża...“

„Kochany panie“, rzekł Kanonik, „byliście wy dla ubogich miłosiernemi, Bóg téż dla was miłosiernym będzie. Nie traćcie ducha, serca, odwagi, a weźcie się do pracy.“

„Muszę“, odparł Ostójski, „łzy za pieniędzmi brzydka rzecz, nie ronię ich, ale mi na duszy ciężko! ciężko. Moja Zośka! moja Zosieczka!!“

Zakrył sobie twarz rękami, gdy z tyłu nadbiegające dziewczę pochwyciło go za szyję... Stało ono już i słuchało przez chwilę nim weszło.

„Tatku drogi! tatku najmilszy! jeśli o mnie chodzi! a! to możesz tańcować!... A mnie pieniądze na co? Wiesz że razowy chléb lubię, że sukienki perkalowe noszę, że praca mnie nie straszy... zostało nam przecie coś! a! czegoż się gryźć. Pluń tatku na licho! Mnie waszéj pracy żal... a dla siebie — doprawdy aż lżéj.“

Ojciec uściskał ją czule...

„No, to dosyć“, odezwał się, „teraz będę spokojny...“

Odwrócił się do Kanonika żywo.

„Przyszło mi na myśl, bo was znam“, dodał, „że wam się zaraz przyśni ze dworku ruszać aby nie być mi ciężarem. Pilno mi było was przestrzedz, że ja do pół roku nie potrzebuję go, bo mam najęty i zapłacony, a potém... no! to zobaczemy... pomieścimy się jakoś. Tylko ani mi się ru-

szajcie ztąd ani szukajcie mieszkania — jeżeli mnie kochacie.“

„Mój dobry przyjacielu“, przerwał rozczulony Kanonik, „ja serce twe znam, ale mnie nie zmuszaj do położenia, które mi strasznie zaciąży... nie zmuszaj. Będę swobodniejszy...“

„O cóż idzie? po pół roku zrobicie co zechcecie, a do pół roku jak mnie kochacie, posiedzicie spokojnie.“

Kanonik się wahał.

„Ja was proszę, mój ojcze, ja bardzo was proszę i Zosia...“

„Ja ojca błagam...“ dorzuciła Zosia.

„Do pół roku, słowo“, rzekł Kanonik.

„Słowo.“

„Dobrze“, dokończył ksiądz, „a po pół roku żadna mnie siła w świecie tu nie utrzyma. Wy doskonale się możecie sami we dworku tym pomieścić, a w daleko mniejszym, bo my z siostrą takich apartamentów nie potrzebujemy.“

„Poczekajcież no, mój dobrodzieju“, wrzucił Ostójski, „bardzo być może iż ja teraz z dzierżawy większéj wyjdę a wezmę mniejszą i dalszą, zatém wcale w miasteczku mieszkać nie będę.“

„To sobie dworek wynajmiecie“, rzekł Kanonik, „w teraźniejszém położeniu każdy grosz trzeba szanować.“

Na tém więc stanęło; lecz Zosia po odejściu ojca została jeszcze dłużéj z matką Juliana. Kanonik nic nie mówił, a w duchu i dziwił się i uwielbiał rezygnacyę z jaką cios ten straszny przyjął stary szlachcic i jego córka. Zosia obawiała się tylko o to by ojciec się zbytnią nie zabijał pracą, a Ostójskiemu szło o córkę... Przywykli do skromnego życia nie mogli poczuć nawet ruiny, bo im zostawało tyle że prawie nie zmieniając dawnego trybu daléj dom prowadzić mogli.



Józef Wybicki.

Chociaż wypadek miał być do czasu przynajmniéj tajony przed ludźmi, ani panna Klara, ani Zosia nawet nie wytrzymała żeby się z czémś po troszę nie wygadała, ludzie podedrzwiami podsłuchali, w parę dni po miasteczku i okolicy rozbiegła się głucha wiadomość o katastrofie Ostójskiego. Znali go wszyscy jako bardzo zacnego i uczciwego człowieka, ubolewanie więc było powszechne. Nie zbywało na dowodach współczucia, jakie rzadko się ludziom trafia, zdobyć na obojętném zawsze społeczeństwie. Jeden z pierwszych przybył dziedzic majątku który Ostójski dzierżawił, a któremu się nic nie należało bo był z góry zapłacony. Uląkł się on aby go poczciwy człek nie porzucił i ostrożnie wielce dał mu do zrozumienia, że jeśliby jakiéj ulgi w dalszych wypłatach wymagał, da mu ją chętnie. Ostójski uściskał, podziękował i odmówił, ze łzami w oczach.

Naturalnie katastrofa była przedmiotem długiéj gawędy, w któréj szlachcic bankierów, spekulatorów i całéj ich prozapii nie szczędził. Urazę do tego plemienia tém większą całe teraz miało sąsiedztwo, gdy baron Sauer zajął się gospodarstwem majątków hrabiego i poprowadził je tak że okolica współzawodnictwa z nim wytrzymać nie mogła. Gospodarowano tu tak jakby jutra dla świata nie było, ciągnąc z ziemi a pobudzając ją do produkcyi szalonéj, bez względu na to że i matki ziemi siły wyczerpać się muszą. Sąsiedzi którzy guana kupować, ani mineralnych nawozów sprowadzać nie mogli, gniewali się na Niemca który ogromne czynił nakłady.

W pałacu po powrocie państwa młodych z miodowéj przejażdżki wszystko się do nowego ułożyło życia. Hrabina matka wypłakawszy się nad losem swym nieszczęśliwym, pocieszała się tém, że synowa jéj była tak zapaloną muzyczką jak ona. Wyznaczono jéj część pałacu na mieszkanie. Młoda synowa była nadskakująca i grzeczna... życie znośne. Stary hrabia milcząc i nic nie dając poznać po sobie, zniósł swój upadek na oko stoicznie. Po kilku dniach pobytu na wsi, uroczyście pożegnał żonę, kazał upakować tłomoki i wyjechał do Monaco.

(C. d. n.)

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Wyznam, iż niczego nie bałem się więcéj, jak téj krucicy, którą w lewéj kieszeni na piersiach nosił. Często bardzo sięgał do niéj, jak gdyby się chciał upewnić że miał ją przy sobie.

Raz, rzekł do mnie bardzo spokojnie i obojętnie na pozór, wskazując na krucicę:

„Żywcem mnie nie wezmą! raz tylko to głupstwo zrobiłem w życiu że złożyłem broń.“

Znając charakter Seweryna, miałem przekonanie że straszna prawda leżała w tych słowach — i wyznam, że widziałem w nim większego nieprzyjaciela dla niego samego niż w tych co w ówczas na jego zgubę czyhali.

Wypadało go przewieźć w zupełnie inną stronę kraju i albo do Krakowa odstawić, gdzie miał stosunki i związki, albo na Podhale Tatrzańskie, gdzie miał serdecznych przyjaciół — zwiedzając już uprzednio Tatry, wśród których bawiąc, powziął myśl swojéj „Sobótki.“

Ale jak tu przejechać do siedmdziesięciu mil drogi, krajem przeciętym przez obławy, gdzie w mieście i miasteczku nie można było stanąć ani na popasa ni na nocleg, gdzie każdego przejeżdżającego zatrzymywały władze, gdzie paszport nawet legalny nie chronił, a najmniejsze podejrzenie lada zbira na rogatce wystarczało na to aby być aresztowanym?

Główną rzeczą było aby na każdym kroku zmylić pogoń, a ztąd wypadało często nadkładać drogi, unikać bitych gościńców; a polnemi dróżkami i miedzami w promieniu mili, częstokroć okrążać cyrkularne miasta i jaskinie znanych z gorliwości zbirów — często tedy przybywało drogi miasto tego, że jéj ubywać miało.

Główną rzeczą było jak mówię zmylić pogoń; rozpuszczenie tedy głośnéj wieści po Lwowie, że Seweryn Goszczyński za kamerdynera przebrany, przewieziony przez polską damę, która właśnie w tym czasie jechała do Drezna, opuścił kraj i pisał już z Drezna list; wieść ta mówię miała wszelkie prawdopodobieństwo. Kamerdyner księżny odegrał dobrze rolę i dostał się do Drezna, tak mówiono sobie.

Gończe listy i dyplomatyczne noty, zwróciły się tedy ku téj stronie, a policya która zwykle informacye z téj gadaniny patryotów bierze, niemyślała już o panu Sewerynie, który tak cicho przypadł na tydzień przeszło po nieznanych kątach, że nawet u najbliższych przyjaciół ślad po nim zginął. Ani jeden pan August, ani drugi, t. j. ani Bielowski ani Wysocki nieumiał nic o nim powiedzieć we Lwowie — i ledwo iż sami w to nie uwierzyli, że się pan Seweryn oparł już o Drezno.

Sypiałem w owych czasach zwykle w pasiece albo oranżeryi, bo tu łatwiéj było usłyszeć każdy ruch nocny i dać pomoc tym, co uchodząc przed obławami pomocy szukali.

Stary pasiecznik zbudził mnie przed świtem i powiadami, że po lipowym szpalerze w ogrodzie, przechadza się od godziny pan jakiś. Gdyby swój to by mnie był znalazł, więc niezawodnie szpieg jakiś.

Pod wszelkiemi pozorami i postaciami wdzierali się w ówczas szpiegi do obywatelskich domów, i trzeba było ich nawet ochraniać i przyjmować, bo odgrywali patryotów i prześladowanych rolę.

Wychodzę tedy, i spotkałem w szpalerze Seweryna: Niemiałbyś ochoty pojechać do Krakowa zemną? zapytał, — to proś Wuja o konie, a jak się dzień zrobi ruszać nam trzeba.

Wuj mój nie spał kiedym wstąpił do pokoju i domyślał się, że coś ważnego być musi kiedym go tak do świtu naszedł.

„Co jest?“ zapytał.

„Pana Seweryna muszę przewieźć do Krakowa i proszę Wuja o konie, na jakich parę tygodni, bo niewiem którędy się tam dostaniem, czy może bezpieczniéj będzie jechać przez Węgry a i sam napowrót chciałbym się temi końmi dostać.

Wuj mój był z najwyższem uwielbieniem dla Seweryna i jak to mówią radby mu nieba przychylił; zerwał się tedy, zarzucił futerko i pobiegł sam do masztarni, gdzie jeszcze wszystko spało. My siedliśmy z Sewerynem oba na ławce przed gankiem, ale w kredensie i w kuchni poczęto się budzić i dziewczynka z pokoju dała znać panienkom, że się coś stać musiało niedobrego, bo pan Wincenty z pan Gackiem siedzi przed gankiem, a pan starszy pobiegł sam do stajen.

W kilku minutach tedy było wszystko na nogach; starsza z sióstr zaczęła na spiritusie robić kawę; bo się domyślała, że pan Seweryn musiał bezsennie noc całą spędzić kiedy o świcie przybył, — młodsze ubrawszy się spiesznie wyszły do nas, aby się dowiedzieć co się święci.

„Jedziemy do Krakowa, a ja odwożę pana Seweryna.“

Bawił nieraz Seweryn w tych Mostkach pana Józefa Ziętkiewicza po całych tygodniach; tu pisał on drobne swoje poezye, tu tłomaczył pojedyńcze rapsody z Ossjana — tu utworzył pojedyńcze rapsody „Sobótki“. — kiedy nieraz w tym samym pokoju i przy tym samym stole spisywałem pieśni Janusza. Teki nasze trzymaliśmy w depozycie panien, przerzucani często z miejsca na miejsce.

W takim to sojuszu stał do tego domu Seweryn, szanowany i kochany od wszystkich — na myśl tedy, że prawdopodobnie na zawsze porzuca ten dom, zmięszali się i posmutnieli wszyscy.

Panny wyhaftowały mu torbę podróżną, Wujenka włożyła do niéj przygotowaną dla niego bieliznę, kawałek chleba, cukru i medalik, bo przecież próżnéj torby jadącemu w świat oddać się nie godzi. W dwóch koszach przygotowano dla nas żywność na drogę; siostry pomagały mnie ro-

bić mój tłumoczek — zastawiono stół przed gankiem i podano kawę.

Po chwili, zajechała bryczka z dobrą parą koni.

Stajnie były opodal trochę za wielkim dziedzińcem, więc na bryczce zajechał Wuj przed ganek, kazał mnie potrzymać konie i wziął chłopca który jechał z nami w drogę do swego pokoju, a po chwili przywołał i mnie do siebie i rzekł:

„No, jedźcie z Bogiem i wracajcie, dałem chłopcu na cały miesiąc na strawne i postajenne, a w bryczce macie trzy korce owsa i sześć bochenków chleba.

Jedźże chłopcze i sprawiaj się dobrze, jak mi szczęśliwie paniczów przewieziesz, uwolnie cię od rekruta i dam matce krowę — jak się źle sprawisz, albo zdradzisz, to nie wracaj tu do wsi, bo przez rok bić każę co piątek, a potém oddam w rekruty.“

Chłopak zbladł jak ściana, trzymając worek z pieniędzmi i nieprzywykły do tego, aby pan zfukał kogokolwiek surowo, albo karać kazał.

Gdyśmy powrócili w ganek, stał już skarbniczek obok naszéj bryczki, bo Wujenka chciała nas odprowadzić z pannami, więc żegnając tu jedynie Wuja, ruszyliśmy w drogę.

Najtrudniéj było przejechać Lubień, gdzie i nas i konie i ludzi wszyscy znali, więc lasami aż na Szczerzec objeżdżaliśmy Lubień — i tu pożegnały nas panie, wiedząc o tém, że ślad nasz ginie, bośmy nikogo niespotkali w drodze.

Nigdy niezapomnę téj drogi improwizowanéj po karcie Lizganika, którą miałem z sobę i za którą kierując się przejechaliśmy aż w krakowskie, stawając na popasy i nocując po lasach, nie potrzebowaliśmy niczego prócz wody, bo mieliśmy z sobą owies i żywność, więc ledwo na wódkę lub mleko zajrzeliśmy do karczem leżących na stronie.

Nie myślałem w ówczas, że z katedry geografię polską wykładać będę, którą studyować wypadało tak, aby się nie zetknąć ze zbirami i pogonią policyi.

Trzy dni i dwie noce jechaliśmy ciągiem nadkładając często drogi — i stanęliśmy pod wieczór w Wieliczce, sypiąc koniom tyle owsa, ile na popasie zjeść mogły.

W Jasielskiem wjechaliśmy na karpacki trakt, tu już słychać nie było o obławach na Polaków, których czy dawno tu nie było, czy już dawno przeszli. Inny zupełnie był ruch umysłów i ludności miejscowéj, nikt się nam nie dziwił, nikt nie podejrzywał i kiedyśmy się w końcu do Wieliczki dobili, zajechaliśmy w środku miasteczka do małéj gospody i odesłaliśmy chłopca z bryczką do kowala, bo konie potraciły prawie wszystkie podkowy, naręczny zachorował dwa razy w drodze na myszy, a podsobny podbił się i utykał na nogę, z jednego téż koła wyskoczyło dzwono, gdyśmy przez rowy w łąkach przejeżdżali, złamał się sworżeń; słowem mówiąc, potrzeba było i bryczkę opatrzyć i konie podkuć na nowo, chcąc jechać daléj.

Mądry kowal opatrzywszy wszystko, odszukał nas w gospodzie i powiada:

„Jechaliście, jechali — jak gdyby kto z cudzą żoną uciekał. Tu nie ma rady na prędce, koniom trzeba wypocząć choć dobę, puścić krew z rogu, potrzymać przez pół dnia w sadzawce, a potém na słoninie okuć na wszystkie cztery nogi; ośm podków — a i z pół dnia będzie roboty koło bryczki jeszcze — otóż na prędce nie można tego zrobić. Jeżeli się panowie przez dobę zatrzymają, to się podejmę roboty.

Jakkolwiek bardzo miło i bezpiecznie wydało się nam w Wieliczce, nie wypadało jednak bawić tu nieopatrznie. Powiedzieliśmy więc kowalowi żeby wziął konie i bryczkę do siebie, a nam wyszukał furkę do Podgórza, to za dobę, albo my powrócimy po konie — albo konie przyjdą za nami na Podgórze.

„Cóż myślisz robić?“ spytałem Seweryna.

„Jak furka zajedzie“ rzekł uśmiechając się, „pojadę po chłodku i nocą do Krakowa.“

„Ale jak się dostaniesz do Krakowa?“

„To rzecz moja“ rzekł uśmiechając się, „albo przez protekcyę policyi przejdę na most do Krakowa, albo przez protekcyę Kamedułów dam znać z Bielan o sobie i przyjdą po mnie z Krakowa.“

„Ty masz paszport, to możesz tu bawić, jabym tu niemógł nocować, bo w miasteczku mógłby mnie kto zatrzymać — więc żegnam cię, za Podgórzem leży mała wioska Kapelanka; cieśla Tondera, który pod dworem mieszka, jest przyjacielem moim, dam mu znać skoro stanę w Krakowie i on przeprowadzi cię na Rybaki i przewóz do Krakowa i przyprowadzi cię tam do nas.“

„A cóż zrobić z końmi?“

„Tu gdzieś pod Bochnią w Pierzchowcu mieszka jakiś zacny obywatel Ludwik Kępiński, odpytaj go i powiedz, że ja cię przysyłym, a zresztą nie potrzeba tego, bo to swój człowiek, to się prędko poznacie.“

Zajechała jednokonka i Seweryn był jeszcze dnia tego u państwa Librowskich na herbacie w Krakowie.

Na Podgórzu bowiem udał się wprost na komorę do komisarza policyi pana Dutkiewicza, który go serdecznie uściskał jak przyjaciela, przedstawiając go kolegom swoim jako blizkiego krewnego, poczém zabrawszy się, przeprowadził go bez kwestyi po moście i wypili razem butelkę wina na Kazimierzu.

Co do mnie — lubo miałem paszport dominikalny, nie chciałem się świecić w Wieliczce. Zostawiwszy bryczkę z końmi przy kuźni, zapłaciłem w gospodzie i puściłem się po miasteczku, odpytać dom poczciwych górników, których syn był niegdyś moim towarzyszem szkólnym.

* * *

Dworek górników moich stał na wzgórku, a mała dziewczynka na ulicy, wskazała mi drogę do niego.

Na Anioł Pański dzwoniono, gdym wstąpił w podwórze i bardzo to się zgadzało z wspomnieniami młodości o owym życiu górniczych rodzin, któreśmy znali z opisu przyjaciela młodości.

Wstąpiłem do domu pokoju i pracy.

Czystość świetlicy była nadzwyczajna, a przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, przed którym lampa płonęła, klęczała niewiasta podeszłego wieku z dwoma sługami, i odmówiwszy znać już uprzednio Anioł Pański, odmawiały

litanię do Najświętszéj Panny, bo była to sobota, czci Matce Boskiéj poświęcona.

Kiedym wstąpił do świetlicy, spojrzały na mnie, ale nie przerywały litanii, otóż ukląkłem przy progu i czekałem aż litanię skończą.

Tu powstała poważna niewiasta, bardzo czysto ubrana w domowym stroju Wieliczanek, i zapytała mnie; „a czém to służyć możemy“; rzekłem jéj, że z jéj synem Kazimierzem przeżyłem w szkołach lat kilka we Lwowie i że dziś przejeżdżając przez Wieliczkę, przychodzę odszukać dom przyjaciela młodości.

Z rozrzewnieniem patrzyła na mnie i zawołała po chwili.

„O mój miły Boże, Kazio nie przestaje nigdy mówić o was! ale któż to pan jesteś, czy Staś, czy Tytus, czy Bogusław, czy Feliś, czy Wicuś?“

„Wicuś“ odrzekłem.

„A moje dziecko!“ rzekła mi z rozczuleniem, „niechże cię uścisnę i podziękuję za przyjaźń waszą dla mojego dziecka, któreście w obcéj stronie z ludzkością podjęli. Tyle w nim dobrego ile wziął od was i ze szkół tamtych; żeby był między wami został, byłby wyszedł na człowieka, ale żal się Boże, dziś mamy tylko smutek z niego, nie udał, nie nadał się, i trapi się ojciec, a ja już nie chcę o sobie mówić.“

„Gdzież jest Kazio?“ zapytałem nieśmiało, „i co robi?“ Niewiasta rzuciła smutnie rękę.

„Jest ci tu w Wieliczce, wisi przy nas, ale nic nie robi.“

Nie chciałem pytać daléj; słońce chyliło się do zachodu, a w środku izby stał duży stół i było bardzo porządnie nakryto do stołu.

„Czy nie mógłbym widzieć Kazia?“ zapytałem po chwili, a smutno rzekła mi matka:

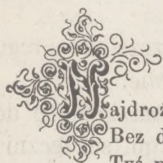
„A bo ja wiem czy przyjdzie na obiad.“

„Jakto na obiad“, zapytałem, „wszak to wieczór?“

„Mój miły Panie“, rzekła niewiasta, robota górników nie ustaje ani we dnie ani w nocy, inni zajeżdżają na dzienne straże, a inni na nocne. Mój starzeje jako człek zrobiony i odkąd się tak Kaziem zatrapił, nie zajeżdża już na nocną robotę do bani, ale tylko na dzienną; od szóstéj z rana do szóstéj wieczorem, więc dopiero wieczorem jadamy obiad i oto przed chwilą nakryłam do stołu i przebrałam się po dziennéj pracy, aby uczciwie przyjąć ojca co na nas pracuje, ale kiedy taki gość nam przybył, to raczcie się panie zatrzymać i przyjąć w domu naszym łyżkę strawy. Panowie podejmowaliście tam dziecko nasze, to choć niech jeden z was zasiędzie z nami za stołem.“

(C. d. n.)

Matce Mojéj.



Najdroższa moja Matko! Gdy z kraju wygnany,
Bez dachu, bez nadziei, szedłem w świat nieznany,
Tyś mi drogę wskazała — i szedłem tą drogą.
I lżejsze w pośród pracy zdały się kajdany —
I Pan Bóg się zlitował nad biedną niebogą...
Bo są dnie, gdy łzy z bolu już płakać nie mogą!

I na obcéj ziemicy znalazłem serc tyle,
Co zakryły przedemną grób co został w tyle...
I jak Lota niewieście iść naprzód kazano —
Bo przedemną świat jeszcze — a przeszłość w mogile...
I po nocach bezsennych wzeszło dla mnie rano —
I z ranem mnie do szczęścia znów ukołysano!

A gdy z blizny, rozdartéj wspomnień nożem, chwilą
Obrazy przeszłych wrażeń swe czoło uchylą —
Gdy w sercu była żałość, a w myślach niewiara —
A w oku te łzy czarne, co nam drogi mylą —
A świat cały spozierał jak Dantejska mara,
Na któréj czole wyraz wyryty: „Ofiara“...

I wtedy, droga Matko, z Ojca medaljonu,
Który noszę na piersi, dźwięk cudnego tonu
Mówił do mnie: „mój Synu, ja także cierpiałem!“
A więc znowu podniosłem skroń do nieboskłonu
I w ręce brałem lutnię i na niéj płakałem —
I pieśnią się do życia znów ukołysałem.

Dziś już jestem spokojny. Burze już ustały —
I życie me jak zachód, gdy znikną upały —
I już nie klnę... bo słońca utrzymać nie mogę!
Świat idzie jak mu prawa natury kazały:
Lecz ty, Matko, z daleka oświecaj mi drogę,
Bo kocham ciebie więcéj niż okazać mogę...

Dziś już serce spokojniéj niźli dawniéj bije —
Bo już ludziom przebaczam i dla ludzi żyję —
I zemstę wypłakałem — i Bogu ślę dzięki
Gdy złotemi promieńmi słońce świat ten myje —
Gdy kwiat rosą mi dzwoni — ptak śpiewa piosenki
I czuję uściśnienie przyjacielskiéj ręki!...

Dziś już oko pogodne — łzy zamknąłem w duszy —
I nic już, prócz tyraństwa, ducha nie poruszy.
Nic nie żądam od świata — od sumienia wszystko!
I proszę tylko Boga, by was od katuszy
Uchronił — i mam wiarę że zbawienie blisko —
Bo kołyska się z grobem, grób wiąże z kołyską!

* * *

Najdroższa moja Matko, gdy z kraju wygnany,
Bez dachu, bez nadziei, w świat biegłem nieznany,
Tyś mi drogę wskazała — i szedłem tą drogą...
Dziś wśród ludzi szacunku, bez zasług kochany,
Błogosławię cię cicho!... Nieba ci pomogą —
Bo są dnie, gdy z radości łzy płynąć nie mogą!

Bruksela, 1 Stycznia 1869.

Henryk Merzbach.

FRYDERYK SZOPEN.

(Dokończenie.)

Zbliżamy się do końca! Pozostaje nam jeszcze dać ogólny pogląd na geniusz mistrza i opowiedzieć ostatnie chwile życia.

Rozpatrując się w dziełach Szopena, znajdujemy w nich ideał nieledwie bezwzględnego piękna, wyrażony w sposób zupełnie nowy. Śmiałość i bogactwo fantazyi, oddanie jéj w tysiącznych ujmujących a zawsze nowych formach, oto są przymioty cechujące dzieła tego mistrza. Kompetentni krytycy, na pierwszem miejscu stawiają: Nocturny, Ballady, Improwizacye i Schercos. W baladach, walcach i etudach, tchnąć on miał tę eteryczną poezyę, która się zdaje więcéj należeć do zaczarowanych światów, która zdaje się otwierać nam podwoje brylantowych pałaców wschodu. Raz są fantastyczne, śmiejące się i skaczące jak wiotka Silphida; to znów szemrząca jak szata Salamandry. Szopen jako artysta-poeta uosobił w sobie uczucia poetyczne całego narodu i całéj epoki. Być może, będzie to tylko dumą „narodową“, jednakże po nad wszystkie zalety Szopena, postawilibyśmy na pierwszym planie, Szopena jako poetę — narodowego.

Liszt mówi i my za nim powtarzamy, że Szopen w mazurkach i polonezach swoich opowiedział po raz pierwszy zdumionemu światu, naszą przeszłość, naszą teraźniejszość, nasze łzy i nasz uśmiech — otworzył nową i nieznaną krynicę uczuć, któréj wody świat cały zalały. Jako człowiek był czysty, szlachetny, przepełniony najszlachetniejszem z uczuć ziemskich, uczuciem miłości ojczyzny. Do wybitnych cech geniuszu jego, należy samodzielność — indywidualność nie ulegająca wpływom. Hummel pomiędzy kompozytorami fortepianu był jeden którego z największą przyjemnością grywał. Mozart był w jego oczach typem idealnym, gardzącym próżnym efektem — nie mizdrzącym się do grubych zmysłów tłumu. Pomimo wdzięku jaki uznawał w niektórych melodyach Szuberta, nie lubił ich słuchać — kontury zdawały mu się za ostre. Beethowena szanował, ale nie lubił. W niektórych częściach jego utworów widział budowę zanadto atletyczną — a namiętność zanadto zbliżającą się do kataklizmu. W wielkich modelach i arcydziełach sztuki wyszukiwał Szopen jedynie to tylko co odpowiadało jego naturze — to zaś, co się od niéj oddalało, ze wstrętem prawie odpychał.

Szopen jest jedną z lilii w koronie historyi polskiéj. Jeżeli więc od kogo — to przedewszystkiem od Polski cześć mu się należy. Wieniec zdobyty przez niego nie jest tym o którym mówi Goethe, że się w ciągu krótkiego spaceru układa. Wieniec Szopena to wiązanka nieśmiertelników, która nietylko imię jego, ale imię Polski unieśmiertelnia.

Takie typy geniuszu, nigdy nieprzemieszkują długo ziemi. Ciało, jak sztuczne widziadło przemknie po niéj — duch tylko pozostaje. To też i Szopen od r. 1840 szybkim krokiem zbliżał się do grobu. Od czasu do czasu spędzał po kilka tygodni w Nohant majątku pani Sand, i tam uczuwał się zdrowszym. Poruszenia coraz z większą trudnością wykonywał, a w końcu zupełnie obezwładniał. Na wiosnę r. 1847 tak już mocno zasłabł, że nie przypuszczano by raz jeszcze z łoża mógł powstać. Uratowano go jednak, lecz nagłe rozłączenie się z p. Sand znowu go na łoże rzuciło. Podczas téj choroby przez dni kilka nie miano nadziei. Gutmann, jeden z najwięcéj odznaczających się uczni jego, przyjaciel i powiernik, był najmiléj przez niego widziany i kiedy księżna Czartoryska odwiedzała go, on się jéj pytał nieśmiało i bojaźliwie, z tą czułą delikatnością, która mu zawsze towarzyszyła: „Czy Gutmann jest bardzo zmęczony? i czy będzie mógł czuwać jeszcze, bo obecność jego jest najprzyjemniejszą.“ Powietrze letnie przyniosło mu ulgę tak, że na wiosnę postanowił odbyć dawno projektowaną podróż do Londynu. Przed opuszczeniem Paryża dał jeszcze jeden koncert w sali Pleyela. Publiczność wyborowa po raz ostatni tam go usłyszała. Nareszcie wyjechał osłabiony, milczący, smutny i rozdraźniony. Przybywszy do Londynu, znalazł tu przyjęcie zaszczytne. Rodzina królewska i najpierwsze domy stolicy zatrzymały i za szczęście poczytywały mieć go w swoich salonach. Grał tam jeszcze jeden koncert na dochód biednych polaków — był to ostatni w jego życiu — ostatni znak miłości przesłany Ojczyznie — ostatnie westchnienie i żal ostatni. I znowu wrócił do Paryża — gdzie się po raz pierwszy udając, miał tylko en passant pozostać. Od r. 1848 nie mógł pracować więcéj. Dotykał się wprawdzie czasem klawiszy, ale myśli w nie rzucone, były bez związku. Szanując swoją sławę i nie dowierzając tym próbom, kazał je spalić. Prócz ostatniego Nocturnu i krótkiego walca nic więcéj z tego nie zostało. Tymczasem siły opuszczały Fryderyka coraz widoczniéj. Siostra na wieść o słabości przybyła do Paryża i na krok łóżka jego nieodstępowała — w czém Gutman i pani Delphina Potocka jéj towarzyszyły.

Liszt podaje nam bardzo szczegółowy opis jego ostatnich chwil.

W salonie przyległym do sypialni Szopena, znajdowało się zawsze kilka osób, które przychodziły kolejno, aby otrzymać od niego w braku słów, choć gest lub spojrzenie przyjazne. W niedzielę 15 Października (49 r.) ataki boleśniejsze od poprzedzających, trwały kilka godzin. Znosił je cierpliwie i z poddaniem się. Hrabina Delphina Potocka, obecna w téj chwili, była silnie wzruszona, łzy spływały po jéj twarzy. Ujrzał ją stojącą w bieli przy łóżku... Zapewne wziął ją za niebiańskie zjawisko — a gdy paroksyzm dał mu kilka chwil spoczynku, prosił aby zaśpiewała. Myślano zrazu, że majaczy, lecz powtórzył prośbę z naleganiem. Niepodobna było odmówić. Fortepian przysunięto do drzwi sypialni, a hrabina śpiewała z prawdziwym łkaniem w głosie... nigdy ten piękny talent i cudowny głos niedosięgły tak szczytnego wyrazu. Śpiewała sławny hymn do Matki Boskiéj, który jak mówią uratował życie Stradelli. Zdawało się że Szopen mniéj cierpiał, słuchając jéj głosu. „Mój Boże! jakie to piękne!“ mówił jeszcze... Choć złamana

wzruszeniem, miała hrabina odwagę, aby się przychylić do téj ostatniéj prośby przyjaciela, usiadła napowrót do fortepianu i zaśpiewała psalm Marcella. Szopenowi zrobiło się gorzéj, obecni byli przerażeni. Powodowani mimowolnem uczuciem, wszyscy padli na kolana, nikt nie śmiał przemówić i tylko głos hrabiny brzmiał w powietrzu jak niebiańska melodya, któréj towarzyszyły płacz i jęki.

W nocy stan chorego pogorszył się; w poniedziałek z rana było lepiéj i prosił o Sakramenta... Przyjął wijatyk z wielką pobożnością i pobłogosławił kolejno wszystkich przyjaciół.

Ataki coraz cięższe powracały przez resztę dnia. W nocy z poniedziałku na wtorek nie mówił już ani słowa i zdawał się nie rozróżniać otaczających go osób; dopiero o godzinie 11 wieczorem uczuł niejaką ulgę. Ksiądz Jełowiecki obecnie przełożony zakonu Zmartwychwstańców w Paryżu, nieopuszczał go, zaledwie więc odzyskał mowę, zażądał odmówienia wspólnie litanii i modlitw za konających. Odmówił je po łacinie głośno i wyraźnie. Od téj chwili trzymał ciągle głowę wspartą na ramieniu Gutmana, który przez cały ciąg choroby poświęcił dlań dnie swoje i noce.

Senność konwulsyjna trwała aż do 17 Października. Około godziny 2 zaczął konać; pot zimny spływał mu obficie z czoła; po krótkim uśpieniu, zapytał ledwie dosłyszanym głosem: „kto jest przy mnie“, odpowiedziano, że Gutmann. Pochylił głowę aby ucałować rękę Gutmanna, który go podtrzymywał i oddał ducha w tym ostatnim pocałunku przyjaźni i wdzięczności. Umarł tak jak żył „kochając!“

Gdy otwarto drzwi od salonu, wszyscy się rzucili ku martwym zwłokom i długo nie ustawały łzy jakie po nim wylewano.

Zamiłowanie jego do kwiatów było powszechnie znane to téż nazajutrz przyniesiono ich tyle, że łoże na którem leżał i cały pokój nawet, okrył się ich przecudnemi barwami. Zdawał się spoczywać w ogrodzie; postać jego nabrała niezwykłéj świeżości i młodości. Młodzieńcza jego piękność wróciła na nowo, a za życia była to postać harmonijna — błękitne jego oczy bardziéj dowcipne niż marzące, uśmiech łagodny i rozumny, nie był nigdy gorżkim. Delikatność i przezroczystość jego cery pociągała oko. Jego blond włosy były jedwabiste, nos lekko zakrzywiony, ruchy wdzięczne i tak arystokratyczne, że mimo woli traktowano go jak księcia. Gesty były wdzięczne, dźwięk głosu zawsze przytłumiony, często głuchy, wzrost nie wysoki, członki wątłe.

Do wspomnień przedśmiertnych należą wyrazy następujące do przyjaciela odjeżdżającego w Poznańskie powiedziane: „Mój zawód publiczny już skończony, macie we wsi kościołek, dajcie mi na resztę dni moich kawałek łaskawego chleba, a ja wam za to wygrywać będę na organach hymny na cześć królowéj polskiéj.

Według woli zmarłego pochowano go na cmentarzu Père-Lachaise między Belinim i Cherubinim. Dziś grób jego ozdobiony jest pomnikiem roboty p. Clésingera, którego koszta składkami publicznemi pokryte zostały.

Niepotrafilibyśmy wymowniéj wspomnienia naszego o mistrzu tym zakończyć, jak wyrazami jednego z kapłanów wielkopolskich, powiedzianemi nad grobem największego wieszcza naszego. Oto mniéj więcéj mówił: „że w téj Polsce, na téj ziemi grobów zasłanéj pomnikami wielkiéj przeszłości zawiesił Bóg lutnię boleśnie — dźwięczną, aby wiatr bijąc o strony, wyśpiewał gorżkie żale, psalm boleści tych, co nad mogiłą sierotami klęczą. A gdy wiatry ustawicznie lutnią miotając, strony w niesfornym rozdźwięku pękły, jęcząc stargane, że cała ziemia z bólu zadrżała, bo jéj nowa strata, nową przypomniała boleść.

W. Hł.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Dokończenie.)

Adam pisywał od czasu do czasu do hrabiny. Czytywała te listy Ewunia, i słabiuchny promyczek nadziei, połyskiwał na dnie jéj serca; w krótce i ten zagasnął.

Z ostatnim listem przysłał Adam tylko co wydany poemat: Pana Tadeusza. Najrzewniejsze ustępy z opowieści Jacka Soplicy, zakreślone były jego ręką. Co się działo w jéj sercu kiedy wyczytała te słowa:

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę
Tyle lat, gdziem ja nie był! a przecież nie mogę
Jéj zapomnieć, i zawżdy jéj postać kochana,
Stoi mi przed oczyma jakby malowana.

Te proste a tak rzewne słowa, były niemniéj obrazem i jéj uczuć.

Książka doszła rąk Ewuni w Krakowie, gdzie przebywała z rodzicami. W krótce po jéj odebraniu, kiedy żyła pod pełnym urokiem zbudowanych wspomnień, rozeszła się wiadomość, że Mickiewicz zaręczony z panną Celiną Szymanowską. Opowiadano w jaki sposób powziął myśl owych związków. Spotkał w Paryżu szwagra Celiny p. Maleskiego, z którym znał się od dawna. Ten widząc go bardzo znękanym i osamotnionym, namawiał go aby się ożenił.

„A z kim?“ zagadnął Adam.

„Gdyby naprzykład z siostrą żony mojéj, z tą małą Celinką, którą znałeś w Petersburgu prawie dzieckiem“, rzekł Maleski.

„Ha! gdyby tu była“, odrzekł Mickiewicz, „kto wie, możeby to i nastąpiło!“

Maleski napisał czémprędzéj do żony; wyprawiono Celinę do Paryża.

Nie wiemy co cierpiało serce Ewuni, kiedy Celina przejeżdżała przez Kraków. Wiemy tylko, że w kilka tygodni potém, rodzice zatrwożeni stanem jéj zdrowia, wywieźli ją do Ems, stosownie do rady lekarzy.

W przejeździe przez Wiesbaden, hrabina wyczytała na liście zebranych u wód osób, imię Zygmunta K.

Uwiadomiony przybył natychmiast.

„Czy panie wiedzą wielką nowinę“, zagadnął zaraz po przywitaniu, „Mickiewicz się ożenił!“

Oczy wszystkich zwróciły się na Ewunię. Zygmunt rad był odwołać nazbyt pospieszne słowa, lecz było już zapóźno.

Ewunia umiała być panią siebie; nie okazała najmniejszego wzruszenia. Co się wtedy działo w jéj duszy, zostało tajemnicą pomiędzy nią a Bogiem.

W Ems nowe czekały ją próby. Przybyły tam z Paryża krewne Celiny; starały się o poznanie z rodziną S. Uczucia Adama były im znane niewątpliwie, bo i któż w Paryżu, z przyjaciół wielkiego poety, nie wiedział kogo miał na myśli malując uroczą Ewunię w panu Tadeuszu? Delikatność sama nakazywała milczenie. Tymczasem panie te, codzień przez sześć tygodni, unosiły się w obec hrabiny i jéj córki, nad niesłychaną miłością Adama ku Celinie. W sposobie ich mówienia, przebijała wyraźnie zła wola: Ewunia była jak na torturach.

Pojmujemy, że w takiém usposobieniu umysłu i serca, nie wiele dbała o zabawy i stroje. Ubiór jéj był zawsze bardzo skromny. Włosy zapinała poprostu, wbrew modzie, która wymagała wysokich koków. Otóż sposób jéj czesania, wywołał surową krytykę pomiędzy rodaczkami. Widziano w téj prostocie pretensyonalność, chęć wyróżnienia się z pomiędzy tłumu.

„Godziż się tak układać włosy?“ rzekła jedna z wytwornych pań przy Zygmuncie, „na głowie nie ma nic.“

„Może być że nie ma nic na głowie“, odrzekł porywczo Zygmunt, „ale co w głowie, to mogę ręczyć, że ma więcéj niż te wszystkie panie razem, co ją tak ostro krytykują!“

Zygmunt okazywał się zawsze prawdziwym jéj przyjacielem. W krótce potém napisał do niéj z Rzymu list żartobliwy; przytaczamy z niego początek.

„Pięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt i pięć jaszczurek, z murów otaczających porta pia, pnąc się po basztach Belizaryusza, zoczywszy mnie zatrzymały się, i wszystkie ząbki białe do mnie wyszczerzyły i oczyma brylantowemi patrząc w słońce, kazały się pani kłaniać i pytały czemu tu pani nie ma? Zaprawdę i ja to samo podaję pytanie: Czemu pani tu nie ma?“

Odtąd ustała zupełnie korespondencya Adama z hrabiną. W parę lat dopiero po jego ożenieniu Ewunia poszła za mąż, lubo jak się łatwo domyśleć, kilkomilionowéj dziedziczce, do tego urodziwéj i wytwornie wychowanéj, nie zbywało na starającéj się o rękę jéj młodzieży. Wróżba cyganki z Tivoli sprawdziła się co do słowa: po śmierci pierwszego męża weszła w powtóre związki.

Od czasu do czasu dobiegały ją wieści o Adamie. Ilekroć spotkał w Paryżu Strzeleckiego, prawdziwie był uradowany.

„Gdybyś ty wiedział“, mówił nieraz, „ile ty mi słodkich chwil przypominasz!“

Montalembert w listach do hrabiny, poświęcał nieraz długie ustępy Adamowi.

Panna Aniela Kuszel, autorka wspomnień o Włoszech, spędziła w Rzymie rok 1849. Był tam wówczas i Adam. Młoda rodaczka pragnęła poznać wielkiego poetę, lecz przystęp do niego niesłychanie był trudny.

„Pan stronisz odemnie“, rzekła raz przy spotkaniu, „a przecież ja znam kogoś, o kim byłoby mu przyjemnie coś posłyszeć.“

I wspomniała imię Ewuni.

Czoło Adama nagle rozpromieniało.

„Mów mi pani o niéj!“ zawołał. „Słyszałem że żyje w wielkim świecie, że utonęła w zbytkach!“

„Co do zbytków“, odrzekła panna K., „nie widziałam ich nigdy w jéj domu, chyba może nazwiemy zbytkiem piękną bibliotekę, i dzieła pańskie oprawione przepysznie!“

Odtąd Adam nie stronił już od panny Anieli, przeciwnie sam szukał jéj towarzystwa.

„Powiedz pani jeszcze co o niéj!“ powtarzał przy każdém spotkaniu.

W kilka lat późniéj przysłał Ewuni pierścionek otrzymany niegdyś od hrabinéj. Prosił aby go dała synowi swemu jak dorośnie.

Po śmierci żony w roku 1855, Ewunia napisała do niego. Byłto pierwszy w życiu jéj list do Adama. Odpisał natychmiast; przy dacie położył: Pierwszy dzień Wielkanocy i wiosny. List to nadzwyczaj przyjacielski; zaczyna się od słów: „Wielce droga i szanowna pani H.“, wypytuje troskliwie o szczegóły z jéj życia, o powodzenie; dziękuje za pamięć. O żonie wcale nie wspomina, zapewne przez uczucie delikatności.

Ewunia napisała powtórnie, odpowiadając na przyjacielskie zapytania. List jéj doszedł do Paryża w chwili gdy Adam wyjeżdżał na Wschód.

Oto jego odpowiedź, datowana z Marsylii. Pisał to na parę miesięcy przed śmiercią.

Marsylia, 13 Września 1855.

„Nie będziesz mnie miała za natręta, jeżeli co kilka miesięcy, odezwę się czasem do ciebie, wielce droga pani. Zgodziłbym się był dawniéj, gdybym miał coś pewnego donieść o sobie. Ale w tych ostatnich miesiącach, spadły na mnie nowe i niespodziane kłopoty. Zanosiło się na to, że miałem zmienić miejsce pobytu, i przejechać gdzieindziéj z całą rodziną. Ten zamiar nie wziął skutku; rodzinę zostawiam, tylko sam puszczam się w podróż. Stało się to wszystko nagle. Odebrałem przed kilku dopiero dniami, polecenia naukowe od rządu, tyczące się Wschodu, a dziś już wsiadam na okręt, płynący do Stambułu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze.

„List twój ostatni, pani, mocno mnie zasmucił. Nie wiedziałem wcale, iż tylu klęskami byłaś dotkniona osobiście. Nie uwierzysz jak mi było mile dawniéj myśleć o tobie, jako o istocie szczęśliwéj. Owóż i to złudzenie znikło!

„Bądź łaskawa od czasu do czasu pisz do mnie!“

Zaczém Ewunia zebrała się odpowiedzieć na ten list, rozległa się jak grom wiadomość o śmierci Mickiewicza.

Wiadomość tę odebrała ona w Krakowie, gdzie z kolei, pogrzebała ojca, matkę, męża, a nakoniec jedynego syna, któremu Adam przysłał niedawno pierścionek w upominku.

Pozwalamy sobie z albumu téj, którą nazwaliśmy Ewunią, wypisać wierszyk skreślony z uczuciem wysokiego poważania i przyjaźni:

Pozwól mi pani popatrzeć w twe oczy,
Ścisnąć twą rękę: to ręka ta sama,
Którą w godzinie natchnienia proroczéj,
Ścisnęła ręka wieszczego Adama!

Niech głosu twego schwycę drżące tony,
On jeszcze dzwoni tak lubo, tak słodko,
Jak dzwonił niegdyś, gdy wieszcz rozmarzony,
Gwarzył nad Tybrem z Ewunią szczebiotką.

Przyłóż, ach przyłóż do klawiszów dłonie!
Niech serce moje do gruntu poruszy,
Ta czarodziejska śpiewka o Filonie,
Co wyrywała gromy z jego duszy!

Pozwól uchylić tę mglistą zasłonę,
Co skarbiec wspomnień pokryła bogaty;
Gdzie pod całunem przeżyły złożone,
Rąbki snów złotych i marzenia kwiaty.

Pozwalasz pani... uchylasz ją sama,
Widzę pierwiosnki!... o jak cudne barwą,
Z Doria Pamfili! i ręką Adama,
Pęk niezabudek uszczknięty nad Arwą.

Widzę i perły... sznurek tajemniczy,
Zranione w cichéj żywota żałobie,
Albo na grobie ułudy dziewiczéj,
Albo na wieszcza wypłakane grobie.

Przebacz mi pani, jeżeli zbyt śmiało
Odchylam drugim ten całun uroczy;
To, na co oko me ze czcią patrzało,
Niechże i bratnie rozraduje oczy.

Przebacz mi pani, lecz ten skarb bogaty,
W urnę pamiątek składany za młodu;
Te drogie rąbki, te perły, te kwiaty,
To drogocenna puścizna narodu!

Szarada.

Chorzy w drugim i piątym pragną znaleść zdrowie,
Pierwszy jest razem gniazdo, śpichlerz i mieszkanie,
Kto chce być grzeczny djabłu pan de trzecie powie,
A czart się nie obrazi o takie nazwanie,
Wszyscy plemię nieliczne u nas, lecz uparte,
Wciąż swoje trąbić zwykło drugie, czwarte, czwarte.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 23: ***Parasole.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Stanisławowi Zabiełło w Ostrowie: Wysłaliśmy. — Panu S. Suger w Śremie: Zamieszczone nie będą. — Panu hr. Adamowi L. S. w Waplewie: Po powrocie zastaliśmy list jego — na który w krótce odpowiemy, załączając szczegóły Go interesujące. Za wyrazy przyjazne serdeczne podziękowanie zasyłamy. — Panu Wołodemu Skibie w Krakowie: Będziemy się starali życzeniom Jego zadosyć uczynić. Wdzięczni jesteśmy za pamięć i przesyłkę. O prace przyobiecane przypominamy się.

Od Redakcyi.

Dla braku miejsca zmuszeni jesteśmy odłożyć życiorys Józefa Wybickiego (patrz rycinę) do numeru przyszłego.

Od Wydawnictwa.

Z dniem 1. Lipca r. b. rozpoczniemy trzeci kwartał trzeciego roku istnienia naszego. Nie pochlebiamy sobie żeśmy w ciągu tego czasu wszystkim wytkniętym zadaniom w zupełności odpowiedzieli, ale bezstronna publiczność przyznać będzie musiała, że jesteśmy na drodze postępu i że Sobótka rodzinom polskim w formie przystępnéj przynosi pokarm zdrowy. Ponieważ każde przedsięwzięcie łączy stronę moralną i materyalną, ściśle związane z sobą, dla tego też i my przypominamy publicznaści ażeby i nadal popierać nas zechciała i ażeby w jak najszerszych kołach pismo nasze rozpowszechniała.

W krótce ogłosimy prace mające być zamieszczone w przyszłym kwartale.

O wczesne odnawianie prenumeraty upraszamy. — Sobótkę prenumerować można we wszystkich księgarniach i król. pruskich urzędach pocztowych — kwartalnie 15 sgr.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)